

Zofia Halina Arcimowicz vel Lisowska  
ul. Wiejska 8 m. 28, 00-489 Warszawa

# Moje wspomnienia

ARESztOWANIE I POBYT NA PAWIAKU  
OD 7 LIPCA 1942 ROKU DO 29 STYCZNIA 1943 ROKU

Urodziłam się 15 maja 1922 roku w Warszawie jako córka Kazimierza i Stanisławy Wesoły. Mieszkaliśmy z rodziną przy ulicy Złotej 62 w Warszawie.

Do organizacji nie należałam, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że w naszym mieszkaniu, jak również w naszej budce w Hali Mirowskiej były punkty kontaktowe. Do organizacji należała moja starsza siostra Janina Kołodziejska, jej mąż Antoni Kołodziejski oraz mój starszy brat Bolesław Wesoły. Owszem czasem przenosiłam jakieś paczki pod wskazany mi adres. Byłam jednak nauczona, że o nic nie należy pytać i stosować się do zasady „czym mniej wiesz, tym lepiej”.

Wsypa wydarzyła się w kwietniu, po aresztowaniu pani Kwiatkowskiej. W tej sytuacji należało natychmiast usunąć wszystkie materiały z domu, w czym i ja brałam czynny udział. Od tego momentu mój brat i mąż siostry musieli się ukrywać.

Budka w Hali Mirowskiej, która dawała nam utrzymanie, do tej pory prowadzona była przez szwagra i brata, teraz to my z siostrą Janiną musiałyśmy ich zastąpić. Wiedziłam, że aresztowano panią Stadnicką, ale czas mijał, a my spokojnie handlowaliśmy.

Nadszedł jednak ten dzień 7 lipca 1942 roku. Od rana w halach panował nastrój zdenerwowania, wszyscy szeptali, że będzie chodzić jakaś komisja, ale nikt nie wiedział jaka. Sądzono, że będą szukać nielegalnych towarów, a okazało się, że to było gestapo. Przyszli od razu do naszej budki, siostrze kazali dalej prowadzić normalny handel, mnie zaś odbierać telefony tak, aby nikogo nie odstraszyć. Ze względu na hałas, jaki zwykle panował w hali, mieliśmy przy telefonie dwie słuchawki i tę drugą brał gestapowiec.

Aresztowano wtedy poza nami wiele osób. Każdy, kto podchodził do naszej budki, był w niebezpieczeństwie. Pamiętam jednego mężczyznę, który sprzedał nam sardynki, został od razu aresztowany, przesiedział na Pawiaku 4 miesiące, po czym zwolniono. Drugi, przechodząc, tylko spojrzął w naszą stronę, i też go zatrzymali. Zażądali dokumentów, znaleźli przy nim jakąś gazetkę, zbili go potwornie, potłukli mu okulary. Nasi najbliżsi sąsiedzi, bracia Kazimierczak, starszy zdążył w porę uciec, młodszy Władysław został aresztowany. Inny z kolei sąsiad, Czarnogórski, zwiął, zostawiając otwartą budkę, telefonował do nas w czasie, kiedy było gestapo. Ale tak mądrze pytał, że ja mogłam równie mądrze odpowiadać, i uratował się. Po pewnym czasie kazali wszystkim zatrzymanym ustawić się parami pod rękę i iść na tyły Hali Mirowskiej. Czekaliśmy tam na nas auta osobowe odkryte. Tymi autami dowieziono nas na Szucha. Tam przeprowadzono selekcję, część osób została zwolniona tego samego dnia, pozostałych zabrano na przesłuchania, które trwały do późnego wieczora, na Pawiak dowieziono nas, gdy było już ciemno. Na dalsze przesłuchania brano nas z kwarantanny i już z celi nr 43.

Oczywiście bez przerwy pytali mnie o szwagra i brata. Bili, straszili, że będą nam wbijać drzazgi pod paznokcie. Bałam się tego strasznie, na szczęście nie doszło do tego. Bicia tak bardzo się nie bałam. Pamiętam bardzo mocno skatowanego mężczyznę w boksie na dole. W czasie przerwy w przesłuchaniach byliśmy tylko we dwoje. Miał on pokaleczoną i bardzo spuchniętą głowę, bardzo wyraźnie powykęcane dłonie, wyglądały strasznie. To był koniec lipca lub początek

sierpnia. Obiad, czyli wodę z rzadką kapustą, podano tylko mnie. Przyłożyłam mój kubek do jego ust – wypił. Nigdy nie dowiedziałam się, kto to był. Latem 42 roku Pawiak odpluskwiano, przenoszono nas z jednej celi do drugiej. Widziałam wtedy więźniarkę chyba nazywała się Kwiatkowska, leżała nieprzytomna w izolatce naprzeciwko naszej celi. Otruła się albo ją otruto. Niemcom bardzo zależało, aby żyła, bardzo się starali ją uratować. Z chwilą kiedy zaczęła dawać pierwsze oznaki życia, natychmiast ją zabrano. Więcej jej nie widziałam. Obserwacje odbywały się przez wizjer w drzwiach.

Przez kilka dni byliśmy z siostrą zamknięte w karcerze, który znajdował się na podwórzu gospodarczym. Przez niewielki otwór widziałam tam wiele bogatych rodzin żydowskich, dorosłych i dzieci. Zachowywali się zupełnie swobodnie, głośno rozmawiali, wierzyli, że będą wysłani do Palestyny. Co się z nimi dalej stało, nie wiem.

Nie wszystkie koleżanki, które ze mną siedziały, pamiętam z imienia i nazwiska, wymieniam te zapamiętane: Maria Bielicka-Szczepańska, Sabina Lipińska, Zosia Krasieńska, Danka Kobyłecka, Janka Kobylańska, Halina Michalska (była w ciąży), Zosia Mrozowska (była w ciąży), dwie siostry Wierzbickie (kaleki), pani Włodarkiewiczowa (prawdopodobnie została rozstrzelana), pani Malinowska, pani Lisowska (jej córka była w celi dla młodocianych), ładna młoda Żydówka (bardzo była bita – prawdopodobnie rozstrzelana), dwie panie Klewin (młodsza i starsza). Przez te siedem miesięcy było znacznie więcej więźniarek, ale zawodzi mnie pamięć. Z personelu szpitalnego pamiętam doktor Czuperską, no i oczywiście „Nano”, czyli Kononowicz. Zjawiała się w celi jak dobry duch i umilała nam życie wesołymi opowiadaniem.

Kilkakrotnie byłam badana przez ginekologa, który przychodził z wolności. Miał czarne włosy, niskiego wzrostu, nazywał się Henig lub Kenig. Bardzo mnie pocieszał, mówił, żebym się nie martwiła swoją ciążą, że wszystko będzie dobrze. A przecież było czym, bo w chwili aresztowania nie zdawałam sobie sprawy, że jestem w odmiennym stanie.

Specjalne słowa poświęcam pani Stadnickiej (nazywałyśmy ją hrabiną Stadnicką). Była potwornie bita przez gestapo, siedziała w izolatce po wiele tygodni w ciemnicy. Na Pawiaku widziałyśmy się kilkakrotnie. Kiedyś przysłała mi przez funkcyjną chleb i cebulę ze słowami, że jestem najmłodsza ze sprawy i niewinnie cierpię, a z powodu ciąży powinnam więcej jeść. Innym razem w trakcie mijania na schodach wcisnęła mi w rękę kilka tabletek pabialginy i powiedziała, żebym to połknęła przed badaniem, to będę mniej czuła. Nie pamiętam niestety, czy to było na schodach Pawiaka, czy gestapo. Gdy nadszedł dzień transportu do Oświęcimia, przysłała pożegnać się z nami. Bardzo się wtedy cieszyła, że nareszcie skończy się bicie. W trakcie każdego transportu cele były pootwierane, więc pożegnania były możliwe. To była wielka bohaterka, niezwykle twarda – Niemcom odpowiadała hardo, pomimo tak straszego bicia. Jaj słowa wypowiedziane w gestapo: „Wiem, ale daję słowo honoru polskiego oficera, że nic wam nie powiem”.

Wigilię i Święta w 1942 roku spędziłam w tej samej celi nr 43. Dano nam na obiad dużą ilość kiszzonej kapusty i dużo kartofli w mundurkach. Zatrzymałyśmy to aż do kolacji, każda tego dnia była najedzona. Stoły zestawiliśmy razem, cele na tym oddziale otworzono wieczorem. Choinka ustrojona kolorowymi papierkami stała na korytarzu przy szpitalu więziennym.

Dnia 17 stycznia 1943 roku był pierwszy transport na Majdanek. Na trzy dni przed tym przywożono mnóstwo ludzi z łapanek. Pawiak po prostu pękał. Spałyśmy pokotem na podłodze. Kiedy zaczęto wywoływać nazwiska przeznaczonych do transportu i wywołano moją siostrę Janinę Kołodziejską, a mnie nie, wpadłam w rozpacz. Siostra wyjechała, mnie zaprowadzono do szpitala, żebym się uspokoiła. Dowiedziałam się wtedy, że ja również byłam na tej liście, ale wyreklamował mnie właśnie szpital bo byłam już wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Pawiak po tym transporcie na Majdanek zrobił się pusty. Skompletowano nas w celach i przeniesiono wtedy do cel bliżej szpitala.

29 stycznia wywołano naszą celę do kąpieli. W łaźni mówili mi, żebym się nie myła, nie rozumiałam dlaczego. Ponieważ się uparłam, zastrzegli, żebym nie myła głowy, więc zaczęłam się denerwować. Po niedługim czasie dowiedziałam się, że wychodzę na wolność. Zaprowadzono mnie do kancelarii Pawiaka męskiego, zwrócono mój depozyt. Buda już czekała na dziedzińcu, nie mogłam się od razu wdrapać z racji swego stanu i zdenerwowania. Jeden z eskortujących pomógł mi solidnym kopniakiem i od razu znalazłam się w samochodzie. Jeszcze raz zawieziono mnie na Szucha. I jeszcze raz małe przesłuchanie, co mnie mocno zdziwiło, bo po siedmiu miesiącach siedzenia już naprawdę nic nie wiedziałam. Po tym nastąpiły przestrogi, czego mam się wystrzegać, jak zachowywać, i dostałam papier zwalniający z Pawiaka. Z tego pokoju już wypuszczono mnie samą. Trzymając papier przed sobą, szłam korytarzami, dygocąc ze strachu, że każdy może mnie znów zatrzymać.

Po wyjściu za bramę skręcałam w stronę ulicy Marszałkowskiej i tak szybko, jak tylko mogłam, chciałam się wydostać ze strefy niemieckiej. Przy rogu ulicy Litewskiej wsiadłam do stojącej dorożki. Woźnica, widząc kobietę w takich łachmanach, nawet nie zapytał dokąd, tylko podciął konia batem, byle szybciej i dalej od tego miejsca. Dopiero po dłuższej chwili spokojnym głosem zapytał, dokąd jedziemy. Podjechaliśmy pod dom na Żłotej 62. Nie miałam przecież czym zapłacić, weszłam do rzeźnika na parterze naszego domu i poprosiłam, aby on zapłacił, a mama zaraz zejdzie i mu zwróci. Musiałam być bardzo zmieniona, bo rzeźnik przez dłuższą chwilę patrzył na mnie z nieco zdziwioną miną, dopiero po chwili wyskoczył zza lady z okrzykiem „O mój Boże, pani Zosia!”.

W krótkim czasie po wyjściu dostałam z organizacji paczkę żywnościową, łączniczka mówiła o dalszych przesyłkach, ale zrezygnowałam. Prosiłam, żeby dali innym, którzy mają mniej niż ja. Odbiór tej paczki musiałam pokwitować.

17 marca urodził się mój syn Andrzej Grzegorz Antoni. Jakiś czas był bardzo słaby i chorował, trzeba było mu wstrzykiwać domięśniowo krew. Tę krew oddawała mu moja młodsza siostra Halina. Wszystko skończyło się szczęśliwie.

Zofia Arcimowicz



Warszawa, 28 stycznia 1977 roku

P.S.

Jeszcze długo po wojnie opowiadano w rodzinie, jak to było ze zwolnieniem mojej mamy z Pawiaka. Dziadek Kazimierz długo szukał przeróżnych możliwości. Aż dostał kontakt dzięki organizacji. Niemiecki oficer po rozmowie z dziadkiem powiedział, że da się załatwić zwolnienie mamy z Pawiaka, ale trzeba za to zapłacić 14 000 – w złocie. W tamtym czasie była to ogromna kwota. Dziadek zebrał stosowną wartość i przekazał ją owemu oficerowi. W zamian otrzymał informację, że 29 stycznia córka zostanie zwolniona. Tego dnia dziadek oczekiwał pod bramą Pawiaka od rana do późnego wieczora. Nie doczekał się. Wieczorem, zmartwiony i zmarznięty, wrócił do domu. Radości nie było końca.

Andrzej Arcimowicz